Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 18. Poznań dnia 29. Lipca. 1839.

Literatura zagraniczna.

Les sept cordes de la Lyre.

Par G. Sand.

Przedostatnie dwa numera *Revue des deux mondes* doszłe do nas, zawierają pod tym tytułem dramatyczną powieść pani Sand. Oddawna z największą bacznością śledzim zmian w talencie téj kobiety nadzwyczajnéj, która druga dopiero po pani Stael, może się spodziewać miejsca w literaturze właściwéj. Inne płci jéj poprzedniczki, jakże niziuchno leżą pod jéj olbrzymiozuchwałemi myślami, któremi lata po wysokościach.

Postrzegamy właśnie w dramacie, o którym mowa, że G. Sand, jak wszyscy prawie pisarze dzisiejsi, podlega prawu zmiany, to jest, że idąc w lata, odstępuje sposobu pisania pierwszego, przybiera nowy, i z innéj cale strony, z innego punktu, świat widzi. Jest to tylko powtórzenie intellektualne fenomenu bardzo powszechnego w historyi naturalnéj, gdy gąsiennica na przykład w motyla, kijanka w żabę się zmienia. Tak samo z Lamartina Medytacyi, urodził się Lamartine Jocelyna i Anioła. Tak ze sławnego *the warlike Abbot*, jak go Anglicy zowią z autora pisma *Sur l'indifference en matière de religion*, wywinął się cale innéj postaci i zasad autor broszurki *Les affaires de Rome* i t. d.; tak codzień każde dzieło nowe maluje wiek, postępy, ustępy lub odstępy autora i świadczy o zmianach, jakie w jego duszy zachodzą. Dawniéj tego nie było, a przynajmniéj różnica była daleko mniéj wyraźną, bo były jeszcze ogólne formy, pod któremi koniecznie objawiać się musiał człowiek nie indywidualnie, nie charakterystycznie, jako ja pojedyncze, lecz jako abstrakcyjna idea człowieka. Dawniéj pisarz pisarzowi musiał być podobny, indywidualizm w literaturze, zabijały surowe prawidła, wytknięte drogi, zapory, które charakterowi na wierzch dzieła wypłynąć nie dozwalały, chyba bardzo nieznacznie, podrzędnie, i dla tego mówiono, że styl znaczy człowieka, iż myśli książki oznaczać go nie mogły. W stylu więc tylko i to nieśmiało malował się człowiek, cale inaczéj ma się dzisiaj.

Mimo tych więzów, dawniéj, mimo przestrachu, z jakim przystępowano przed oblicze strasznéj a łaskawéj publiczności w todze i stroju raz na zawsze jednakim, kawałek oślego ucha, trochę indywidualizmu wyglądało z pod téj martwéj i wyłysiałéj lwiéj skóry — lecz kawałeczek tylko. Zresztą wszyscy byli jak kanonicy w stallach siedzący, na pozór jednego wieku, jednéj barwy, jednéj tuszy, rodzeni bracia, jednakowo śpiewali spokojnie, regularnie, z wyznaczonych oddawna partesów, których nikt nie śmiał odmienić na jotę. Był to śliczny jednostajny koncert, któremu podobnych już dziś dzięki Bogu nie słychać, każdy żyje swojem życiem, swoją duszą, sobą samym, prawidła tylko przyzwoitości, prawidła dobra powszechnego ograniczają słabo objawianie się indywidualne człowieka. Lepiéj tak, czy gorzéj? niech każdy sądzi, jak mu się podoba.

Były jednak i dawniéj dla dogodzenia zbyt różnym temperamentom, niejako klassy w literaturze, smutnych, wesołych i t. d., a kto sobie raz obrał jednę, śpiewał aż do końca, jak śpiewak w chórze, który zapisany na prym śpiewa prymem, choć mu wiek głos odmieni. W dawniejszéj tedy literaturze nie było tego fenomenu metamorfozy autorskiéj, bo w niéj człowiek okazywał się nie jako indywiduum pojedyńczo, lecz jako jakiś ideał człowieka, a ideał, wcale nie pochlebnie zimny, ostygły i sztywny.

P. Sand, jakeśmy już to nie dziś postrzegli, wchodzi w drugi, a może trzeci peryod swego talentu. Kto nie wierzy, niechaj porówna *Rose et Blanche* z Indyaną, Indyanę z Spiridjonem i Siedmią Stronami lutni. W tych dwu ostatnich dziełach widocznie p. Sand z apostoła emancypacyi kobiet, przechodzi na echo swego przyjaciela wspomnionego już *the warlike abbot*, którego naukę obwinąwszy w metafizyczne pretexta, pod rozmaitemi rozrzuca postaciami. Wzięło to początek, zda mi się, od obrony ostatniéj książki jego, przeciw p. Lerminier, należącemu do szkoły XVIII. wieku, w inny

wcale, może filozoficzniejszy (a nie przeto lepszy) sposób, niż p. Sand i jéj przyjaciel, którzy także pochodzą moralnie z tego źródła. Lecz p. Sand przemawiająca za kobietami jeszcze wyobraźnią całą, całem sercem w dziełach żyła; tu przemawiając za teoryą socyalną, mówi tylko umysłem i patetyczną, poetyczną, lecz już nie tak pełną życia gadaniną. Nie jest to już ta p. Sand, co była, jest to tylko zapalony propagandysta nowych teoryi nie dokładnie rozwiniętych, bez zasady, bez wyrozumowania, opartych więcéj na współczuciu dla niedoli, niż na poznaniu świata, jest to p. Sand, starzejąca się i wpadająca na starość w jakiéjś rodzaj dewocyi; z tą tylko różnicą, że p. Sand modli się do neo-christyanizmu, czy też jakiéjś religii niewydanéj *(inédite)* swego przyjaciela.

Spiridion ogłoszony w *Revue des deux mondes*, piśmie, które służy za organ filozofii francuzkiéj, kontynuacyi XVIII. wieku i encyklopedystów, szerzéj i ściśléj wziętéj — za nim *Les sept Cordes de la Lyre*, pełne są mistycyzmu, deklamacyi, i téj poezyi, która nie w obrazach, nie w dramatycznym ruchu, lecz w wytwornym ubiorze myśli się objawia. Oba te dziełka p. Sand są raczéj filozoficznemi niż literackiemi produkcyami Na nieszczęście, co chciała p. Sand odmalować, czego dowieść w ostatnim swoim dramacie — ja niewiem. To pewna, że jéj lutnia ma zapewne znaczyć duszę, a strony złote, śrebrne, stalowe i t. d. różne różnym wiekom życia ludzkiego właściwe sposoby pojmowania świata, od ideału, bez wyjątku, aż do materyalizmu, bez nadziei, wystarczającego sobie samemu.

Machina użyta do dzieła *(puisque machine il y' a)*, na któréj osnuto poetyczno-filozoficzno-mistyczny dramat, jest w wysokim stopniu dziwaczna, nawet niezgrabna, myśl do niéj przyczepiona jéj się nie trzyma. Ma ta lutnia siedmiostronna być symbolem czegoś, lecz jéj historya nie tłumaczy czego, i każe się domyślać coraz inszéj allegoryi. Któż to znów natchnął p. Sand nieszczęśliwym pomysłem strojenia się w allegorye i symbole? Ta forma tak już jest przestarzała, tak fałszywa, a niestósowna potrzebom dzisiejszym, tak z innego świata, że użycia jéj sam smak, jeśli nie zdrowy rozum, powinien by zakazać.

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Werner.

Czy widzisz to blade, wychudłe oblicze,
Wzrok dziki, pijany, tułacki?
I uśmiech szyderski, uśmiech świętokradzki,
I ruchy szatańskie, dziwne, tajemnicze?

To dziecko natchnienia, to dusza płomienna,
Co z młodu rozstraja swe myśli ze światem,
Jak piekło ognista, jak ocean bezdenna,
Jak meteor zabłyska poezyi kwiatem!

A kwiat ten nieziemski, — on z nieba, z wysoka,
On wykwitł nad jasnym, nad górnym obłokiem;
Skąpany w natchnień srebrnego potoka,
I lśnił jak talizman przed śmiertelnych okiem.

I wieszcz weń ustroił szlachetne swe czoło,
I pojrzał do koła, promiennio, wesoło,
I drugim potrząsa to kwiecie;
Ale kwiat ten upadł na ziemię lodową,
Kwiat natchnień wnet powiądł na świecie,
I nad wieszcza powiądł głową!

Szyderstwa go ścięły grudniowym oddechem,
Wieszcz zaśmiał się gorżkim, szalonym uśmiechem;
I odtąd samotny, zatruty, stęskniony,
Ucieka ze wstrętem z rozpaczą od braci,
A jeśli go zdybiesz, uciekniesz strwożony,
Od téj szatańskiéj postaci!

F. Z.

Zalotnik marcowy.
(Z rodzinnego podania.)

I.

„Jako wasze, panie Michale, w tym wieku chceta się żenić? nie pomnicie, że kiedy stary z młodą się żeni, tedy jakoby w stary wóz szalone konie założył. Trudna zgoda, z ogniem woda! Młoda zawsze ma prawdę, — w niczym dla ciebie reju nie będzie; — boć szafranu nie przetrzesz, a baby nie przeprzesz, — wtedy bieda temu domowi, gdzie krowa dobodzie wołowi, — bo zawsze tam wierci mak błądzi, gdzie donica rządzi. — Hm! wasze, panie Michale, patrzyta na mię złym okiem, by na Tatara w jassyrze; — wierzyta jedwabnym słówkom krasnéj dziewki, aleć to oddawna nie naprózno powiedziano: »Co ci powie białogłowa, pisz na bystréj

wodzie słowa;« świętéj pamięci rodzic mi jeszcze mawiał: »Ani na wsi, ani w mieście, nietrzeba wierzyć niewieście.“ — Na taką przecież perorę pana Malchera stryjecznego brata, pan Michał, milczał uporczywie, pokręcając szpakowatego wąsa, co tem więcéj mówcę jątrzyło i zapalało. „Pfu! na marę!“ zawołał pan Malcher, chodząc szerokim krokiem po komnacie, i podciągając w gniewie coraz pasa: „Milczysz jak zaklęty, boć poczuwasz się do złego! Tobie w tym wieku brać w dom dziewkę, a przecież choć ma włosy długie, ale rozum krótki. Kto chce się żenić, powinień mieć naturę twardą, a dobrze z początku żoneczkę karcić, aby znała, co pan w chałupie. Dobre były czasy one, po których zostały przysłowia:

Orzech, stokfisz, niewiasta, jednym kształtem żyją,
Nic dobrego nie czynią, kiedy ich nie biją.

Kto pije, ten tyje, kto miłuje, bywa zdrów, kto bije żonę,
będzie zbawion.

Pan Michał, jakoby niesłyszał mowy brata, powstał z wolna i przeszedł do jadalni, gdzie zwykle z przyjacielem domu, jako zwano „rezydentem“, o tę porę grywał w tryszaka. Malcher splunął, pogłaskał w zgórę czuprynę, schował obie ręce za pas, co zawsze było oznaką gniewu, i poszedł w milczeniu za nim — a zastawszy brata z panem Jaksą, rezydentem, zajętych tryszakiem — pomruknąwszy na wpół głośno:

„Kto miłuje rzewnie,
To szaleje pewnie,
Kto się kocha powoli,
Tego głowa nie boli.“

Usiadł w kącie jadalni, wysunął małą szachownicę i przywołał starego rotmistrza z chorągwi hussarskiéj, zawołanego gracza w szachy. Kiedy tak się grą zajęli, wpadł zadyszany pacholek, donosząc, że pani czesnikowa z panną i całą rodziną już jest przy granicznym kopcu.

Pan Michał, jak piorunem rażony na taką niespodziankę, co rychléj schował wielką papierową tabakierę, kazał podać sobie żupan świeżéj mody; Jaksa pomagał mu w przebraniu. Pan Melchior cały stanął w czerwieni, jak kogut do boju, rozdraźniony przybyciem nagłem niewiast, a co więcéj go rozgniewało, że od nieskończonéj partyi szachów uciekł i stary rotmistrz, dla poprawienia ubioru, i poczernienia sumiastych wąsów.

Cała służba pana Michała wystrojona, oczekiwała przed gankiem na przybycie wielmożnych gości. Jaksa ich porządkował, i jako mówił, ustawiał w ordynek. Rotmistrz z uczernionym wąsem i ogromnemi ostrogami, stał na czele, aby podawać damom rękę; pan Michał na progu sieni, wzruszony nie mało oczekiwał swojéj przyszłéj — a Malcher? ten nie wyszedł ani do sieni, ani na ganek, ale w złości poprawiał przed zwierciadłem pasa i przy pomocy śliny ustawiał na głowie czub szwedzki.

Na zegarze ściennym właśnie wykukała kukawka jedenastą godzinę w poraniu — gdy kareta wspaniała pani cześnikowéj stanęła przed gankiem. Jaksa z rotmistrzem wysadzili naprzód panią cześnikową, potem pannę Ewelinę, jej córkę, a narzeczoną pana Michała, potem pannę Matyldę, starą ciotkę, — potem pannę Annę, starą pokojówkę, potem dwie służące, potem dwa szpice, potem opasłego i sapiącego mopka murzyna, potem ciotki papugę w jednéj klatce, a parę kanarków w drugiéj, potem pudła, pudełka, pudełeczka, szkatuły, puzderka, worki i woreczki, co blizko godziny zabrało całéj służbie dworskiéj, za nim je poznosili. — Pan Michał, ucałowawszy rękę cześnikowéj i narzeczonéj, powiódł matkę naprzód, a Malcher, udobruchawszy się wiele, okazał się nagle w sieni i przeprowadził Ewelinę.

„Mój drogi stolniku!“ rzekła cześnikowa do pana Michała, „chcieliśmy ci zrobić miłą niespodziankę, otóż jesteśmy, by razem zjeść gąskę na śgo Marcina, bo to dziś tego patrona.“ — „Miła mi Asindzki!“ odrzekł pan Michał z ukłonem, „każda łaska, a z czemże radość porównać, gdy raczyłaś pamiętać, iż w dniu dzisiejszym jestem pozbawiony gospodyni, która tak sławnie wróżyć umie o ciekawéj dla każdego rolnika zimie!“

II.

Godzina obiadowa nadeszła niedługo; na pierwszem miejscu posadzono panią cześnikowę i Ewelinę, obok siedział pan Michał z jednéj, a panna Matylda z drugiéj strony, — przy niéj Malcher, już weselszy miodem i akwawitą śniadanną, — daléj rotmistrz i Jaksa zamykali poczet.

Po wielu potrawach, w których staroświecki kucharz nieżałował szafranu i bakalij, — ukazała się gęś potężna, już rozebrana na części, wyjąwszy nietkniętych piersi, te położono na talerzu przed panią cześnikową, która zręcznie mięso zjadłszy, zostawiła w prętce kość nagą. Wtedy, za danym znakiem przez pana domu, podał hajduk puhar kryształowy, kwartę obejmujący, który koleją pierwszą wychylili wszyscy za zdrowie tam obecnych. Cześnikowa w delikatne palce pełne pierścieni, o które zbił sobie zęby rotmistrz całując serdecznie, ujęła kość piersiową, i zbliżyła się wolnym krokiem do okna ogrodowego, obejrzała ją troskliwie, a ukazując przytomnym, taką wydała wróżbę blizkiéj zimy.

„Widzicie państwo z początku te białe plamy — wśród więcéj ciemnych, to znaczy, iż po troszku będzie

śniegu, ale więcéj deszczu — taka niepewna zima będzie do połowy, bo do połowy kości wszędy są plamy czarne — ale za to druga połowa zimy będzie mroźna i śnieżna, bo spojrzyjcie państwo, reszta piersi bez plamki!“ — „Taką rzeczą, Mościwa Pani Wielmożna Cześnikowa,“ zawołał podochocony Malcher, z puharem w ręku, „będziesz z nas miała częstych gości kulikiem po dobrym śniegu.“ — „Owoż!“ rzekł pan Michał, „pierwsza wróżba Asindzki, uiszcza się teraz śnieg pruszyć zaczyna.“ — „A ha!“ wyrzekli razem rotmistrz i Jaksa, „święty Marcin jedzie do nas na białym koniu.“ — „Święty Marcin po lodzie, Boże narodzenie po wodzie! taka u nas dawna przypowieść — i niewiem, czy na gody zadzwoniem sankami u Wielmożnéj Cześnikowéj;“ to mówiąc skłonił się nizko pan Malcher. — „Choćby i na kołach bosych,“ odrzekła, „miłe mi Waszmość Panów odwiedziny zawsze, — proszę niezapomnieć o tém, bo pod sianem na wigilią możecie znaleść wróżbę szczęśliwą dla siebie.“

Kiedy mile czas schodził, przy zmroku poczęła się do domu cześnikowa wybierać, przystojność bowiem sama niedozwalała w domu narzeczonego jéj córki zanocować. Zaszła więc kareta, wsadzono naprzód albo raczéj wniesiono cześnikowę do pojazdu, i jéj córkę, i starą pannę ciotkę, i starą pokojówkę, i dwie służące, doładowano reszty dwoma szpicami, murzynem mopkiem, papugą i kanarkami.

Rotmistrz aby ujął sobie pana Michała, konno wsiadłszy na dzielnego arabczyka, zobowiązał się przeprowadzić damy; a pan Jaksa więcéj uradował narzeczonego, bo dwóch pachołków wsadził na konie z zapalonymi pochodniami i sam im przewodniczył. — Psy siedzące w karecie na blask jasny poczęły przeraźliwie szczekać — papuga kląskać i świstać; — cześnikowa w uniesieniu radości, chustką z bramy powiała — gdy Malcher z pełnym kielichem nócił pieśń pożegnania:

„A kiedy odjeżdżasz — żal w sercu zostawiasz.“

III.

Zbliżył się czas Gód czyli Bożego-Narodzenia. Pan Michał i Melchior wystrojeni, wraz z rezydentami swemi rotmistrzem i Jaksą wybierali się na wigilią do pani cześnikowéj. Tą razą wróżba omyliła, i święty Marcin był po lodzie i Boże-Narodzenie po lodzie i śniegu. Wyciągnięto przepyszne sanie — pudło wyobrażało okręt, z przodu biały łabędź misternéj roboty roztaczał białe skrzydła, i wyciągał długą pozłacaną szyję — obok dwóch murzynów w czerwonych czapkach ukazywało zęby białe. Zaprzężono cztery białe konie, — maść ulubiona rotmistrza, który zawsze mawiał: „kto nie siedział na białym, ten nie jeździł na dobrym koniu“; przystrojone były w krakowskie chomąta, pełne dzwonków. Zasiadł wąsaty woźnica w wilczurze sutéj — dwóch pachołków stanęło z tyłu, i tak ruszono żwawo. Już gwiazdka pierwsza ukazała się na niebie, kiedy nasi zajechali goście. — Przyjął ich na ganku pan chorąży, brat cześnikowéj i wprowadził do komnaty. Znaleźli stół długi zastawiony sianem nakryty, — w każdym kącie izby stały snopy zboża, świecznik ogromny pełen świec jarzęcych oświecał widnie. Pani cześnikowa uprzejmie przyjęła oczekiwanych gości, oświadczając, że wigilia gotowa, bo gwiazdka już przyświeca. — Pan Michał, posadzony obok narzeczonéj, rozpływał się w radości; — Malcher marszczył czoła, ale mars rozjaśnił się wkrótce przy rzęsistych puharach — wznosił on zdrowia liczne, proszony o to od gospodyni domu, — a gdy właśnie dwunaste wznosił z kolei „kochajmy się!“ — Zabrzmiała kapela — roztwarły się drzwi — i ukazało się grono licznych gości — i niewiast strojnych. Wiedziała o tych odwiedzinach cześnikowa, ale chciała ucieszyć niemi przyszłego zięcia.

„W to mi graj!“ zawołał wesoły Malcher, „a teraz rznij od ucha kapela — pijem zdrowie szanownéj i mnie wielce miłościwéj pani cześnikowéj na kolanach.“ To wyrzekłszy, ukląkł, wszyscy mężczyźni poszli za jego przykładem — otoczyli wieńcem matronę, i chorem śpiewali dawną piosnkę

„Nie masz to, nie masz, jako nasza gospodyni.“

Rozrzewniona tym affektem — skinęła na chorążego brata — roztwarły się drzwi i na małym wózku ciągnionym przez dwóch karłów, okazał się antał starego węgrzyna — pamiątka po nieboszczku jéj mężu. Ujrzawszy to, podpiły Malcher, wziął na stronę pana Michała i szepnął mu do ucha: „Panie bracie! już teraz nic nie rzeknę, żeń się Waszeć — to święta białogłowa — a snadź i dom zamożny.“ — „Nie tu koniec, moi mili sąsiedzi!“ rzekła pani cześnikowa, „każdy przy swym talerzu w sianie wróżbę znaleźć powinień: trzeba poszukać.‘ — Posłuszni sięgnęli ręką — pan Michał znalazł dziecię w powijaku — panna Ewelina czepiec, — Malcher pannę z cukru, razem z Jaksą i rotmistrzem, — a stara ciotka kołyskę z bliźniętami.

IV.

We dworze pana Michała już przez całą zimę trwały przygotowania. Święty Jan był oznaczony na dzień ślubu: mało doma zagrzali i rotmistrz i Jaksa, bo jeździli za sprawunkami: Malcher sam teraz doglądał gospodarki, gdy brat jego stracił głowę — i zajmował się wyłącznie przygotowaniem do ślubu. — Im więcéj przecież zbliżał się do celu życzeń swoich, więcéj roz-

myślał — przypominał sobie, że już w lata zaszedł, do wielu rzeczy nazwyczaił, od czego trudno odwyknąć, a panna Ewelina nie znosi: naprzykład nie pozwalała mu, jak dwa razy zażyć tabaki przez dobę. On nawykł jeździć brocką bryką bez resorów, — panna mu przypominała karetę i pojazdy nowe. Zaczęła przebąkiwać, że rezydentów nie ścierpi — trzeba więc będzie pożegnać rotmistrza i Jaksę, przyjaciół prawdziwych, z których każdy życie by zań oddał. Krzywiła się na Malchera i doradzała, aby mu gdzie uboczną wieś puścił. Pani zaś cześnikowa chce mieszkać przy córce — razem z starą ciotką — z starą pokojówką — papugą, szpicami i mopkiem. — To wszystko niepokoiło pana Michała we śnie nieraz, wspomnienia takie dreszczu go nabawiały; tak straszne widzenia uspakajał modlitwą, i usypiał spokojniéj, zdając się na opatrzność. Malcher milczał, — pracował szczerze, zastępując wszystkich — dostrzegł zmiany brata, i rzekł raz pod wieczór, gdy sami byli. — „Miły panie bracie! coś wam wadzi — osowiały, zasępiony codzień więcéj, czysta niezdrowi?“ „Zdrowia mi braknie, miły Melchiorku, — ale trosków więcéj przy starszych latach.“ — „Kto się ożeni, to się odmieni! tak mówią — ale wasze jeszcze się nie ożenił, a już odmienił.“ — „Nie wiem ki to kat — ale im więcéj bliżéj ołtarza, tem więcéj rośnie w sercu obawy. Wszystko odmienić się tu musi — a mieć tak miło i dobrze, jako jest teraz.“ — „Miarkuję, co chcesz wasze wyrzec — musimy się rozdzielić, — prawda, że jak dla mnie, to bardzo przykro,“ mówił wzruszony Malcher, „od czasu, jako na drewnianych hasalim konikach zawsze razem, — wyjąwszy, gdy raz trzeba było tym psom Tatarom ogonić się i odpędzić od zagonów i kopców swoich, — drugi raz, gdy wasze niemocą złożony leżał w Wieliczcie; — a teraz —.“ Niemógł skończyć i łzy spłynęły mu po licach. Zapłakał rzewnie pan Michał, rzucił się w obięcia brata, i długo płaczu utulić niemógł.

V.

Nadszedł dzień ślubu. — Z smutnym obliczem zajechał Melchior przed dwór cześnikowéj, oznajmiając prędkie przybycie pana Michała. Panna Ewelina zapytała go dumnie, czy kareta będzie do ślubu. — Melchior duże zrobił oczy, oświadczając, że pan brat o tem dotąd nie pomyślał. — „Jakto?“ krzyknęła z gniewem pani cześnikowa, „a o ślubie pomyślał?“ — „Nic niewiem, Mościwa Pani, ale owoż i sam przybył, najlepiéj to wyjaśnić potrafi.“

Jakoż w brockiéj bryce zajechał pan Michał z rówianką kwiatów przy boku, towarzyszył mu konno rotmistrz na dzielnym turczynie. Ledwie próg przestąpił miasto przywitania, matka i córka jednozgodnie wykrzyknęły: „Cóż to, brocką bryką do ślubu?“ — Pan Michał, dotąd potulny baranek, podniósł dumnie głowę i rzekł poważnie: „Widzę, iż nie moja osoba, ale dostatek ma tu znaczenie i powagę, a wziąwszy to smutne przekonanie, nie pozostaje nic więcéj, jak zostać powolnym sługą i dobrym jeno sąsiadem mnie wielce miłościwym damom.“ — Osłupiał Melchior na te słowa brata — i tem więcéj zdziwion, gdy ten z ukłonem wyszedł na ganek, kazał zajechać bryce brockiéj, wsiadł w nią i odjechał. — Rotmistrz został na podwórzu. — Zbladła cześnikowa — zczerwieniała panna Ewelina, — Melchior w milczeniu pokręcił wąsy; zgromadzeni licznie goście z podziwieniem oczekiwali końca. W tem wszedł pachołek pana Michała i wręczył list Melchiorowi. — Przeczytał go — uśmiechnął się radośnie, i wlepił oczy na podwórze.

Niedługo zagrzmiał dziedziniec, cztery kasztanki przepysznie strojne z karetą, jakiéj w okolicy nie widziano, stanęło przed gankiem.

„Czyjeż to, czyjeż?“ zapytali wszyscy. — Melchior skłonił głową, i rzekłszy: „Kareta i konie przeznaczone do ślubu były — chciał tem swoję ucieszyć narzeczoną; aby od razu nie pokazać, i jam nie wiedział nic o karecie: zawiozą one raz pierwszy i ostatni, jego brata, co go kocha sercem, chociaż zawsze w brockiéj bryce jeździ.“ — Wyszedł — wsiadł do karety — i zniknął.

Pan Michał z radością w miejscu żony, uścisnął brata, rotmistrza i Jaksę. — Spóźnił się dnia tego obiad o parę godzin, ale jak zwykle jedli go razem; — po czem Malcher grał z rotmistrzem partyą szachów, a brat z Jaksą w tryszaka. — „Patrzcie!“ mówił uweselony p. Michał, „zostanie wszystko, jak było — nic się nie odmieni — będziemy razem do grobowéj deski!“ — „Dzięki Bogu!“ odrzekł Melchior, „aleć ja prawdę mówiłem, że u białychgłów długie włosy — ale rozum krótki. — Miłoć mi, że mój pan brat w pierwszym zawodzie nie uległ niewieście, bo za prawdę dobrze mawiano i dawniéj: Z koniem nie igraj — niewieście nie ulegaj, pieniądze sam chowaj, chceszli być bez szkody! A potem, czyż nam tak źle, tylem lat przeżyli społem w zgodzie i jedności, — niechby tu niewiasta zasiadła, nigdybyś jéj pan brat niedogodził, jako w onéj starej przypowieści: Dwa razy żona męża biła, — raz, że ogórki łupił, drugi raz, że jabłek nie łupił!

K. Wł. Wojcicki.

Przegląd pism.

Prace literackie, *tom* 1. *Wiedeń, nakł. wydawcy.* 1838.

(Dokończenie.)

Król się zaciął, zwichnął na ukartowaniu, przekonał się, że śmiałość taka, była wolna zbrodni, bo się kary nie bała, bo zarzut wyzywa, bo jasno prawdę sypie. Mejerin postrzegła wahanie króla, widzi jak mu już usta ku lżejszym słowom się kłonią, w rysach mu czyta łagodne pasmo myśli, starca ze starcem siwy włos pogodzi — co? jéj zemsta skończy się na jedném słowie, na jednéj chwili, kiedy jéj obraza na całe życie wystarczy? nie, Urszula jeszcze tryumfować myśli, jeszcze choć jeden uśmiech, choć półuśmiechu rzuci hetmanowi w twarz, i niby niemyśląca, kiedy król pierwsze łagodne układa wyrazy, ona się schyla ku nogom jego, by poprawić przykrycie na nich; ona taka uważna; król krzyknął, ujął się za kolana, boleje, a ona od dołu spogląda mu w twarz i oczami łysnęła gniewnemi. Zygmunt zapomniał łagodnego słowa, ból przerwał nastrojone myśli. Mejerin tego chciała; łaskawość skonała, ależ i gniew bardziéj nastrojonym niż prawdziwym się wydał i przybrał formę ogólną skarzącą wszystkich, nie dotykając osobno. »Takby być powinno, a przecież mnie boli rana; czekan wasz podniósł się aże do wysokości głowy z koroną, chęci wasze może się wyżéj podniosły. Obaczcie się! jedném słowem można duszę zabić, jednym czynem można wiele czynów zmazać. Szukaliście dawniéj aplauzów króla, ojczyzny, świata całego w bitwach, na stepach, w pracach radnych; dziś szukacie na rynku aplauzów gawiedzi, na rynku, wtorzył patrząc bystro w Chodkiewicza i Lwa Sapiehę — o panowie, wy mnie dotknąć chcecie w osobach służby mojéj; spoczął nieco, by śmiechowi szyderstwa dał czas powałęsania na ustach, ciężko odetchnął i wtorzy daléj: na pracę ciurów zeszły prace wysokich urzędników moich, trybuną ich okno, mieczem ich plwanie, celem harców białogłowa; dobra zabawa! a tam na czerwonéj Rusi wsie w popiele, Tatary w miastach, wojska w nieczynie! tam was nie ma, bo tam nie ma rynków, ni gawiedzi, coby pląsy biła; tam pustka.« Mejerin każde słowo połykała jak miód Kowieński a panów każdy wyraz szczypał jak ocet; pochylili głowy, by nie widzieć zapominającéj się głowy króla, by ich nie nagabał duch odpowiedzi. Ale nie tak łatwo milczeć Chodkiewiczowi. »Tam, miłościwy królu, wznosząc ręką poważnie wskazał starzec, tam Turek prawda, ale tam i cień wielkiego hetmana błąka się z głosem i listem pomocy do was napróżno rzucanym; tam sioła w ogniu, ale tam i wojska bez żołdu; tam, miłościwy panie, także był rynek, Cecora i gawiedź bijąca poklask w pałasze, ale i tam stanęła niesprawiedliwość w szacie odmówionego wsparcia i przyszło bratu naszemu przypomnieć światu Emiljusza pod Kannami. O! dobrześ królu i panie powiedział, prace wysokich twych urzędników zeszły na ciurów pracę, bo im samym trzeba zaprzęgać wozy, kiedy się w potrzebę idzie.« Osłupieli wszyscy; oskarżony oskarżał, zapozwany zmienił sędzię w winnego i dobrze ugodził, bo wywołał królowi grzech, którego on się zaprzeć sam przed sobą kusił i krwawy kadłub Żółkiewskiego przeszedł się po tych komnatach, głowę swę niosąc do stóp tronu. »O jam nie winien, zatoczył król nieśmiało, śmierci jam nie winien, jam bolał, boleję, słuchał, us'uchał, jam mu pomocy nie dosłał, nie mógł, radzono tak.« — Kto radził, kto i jak radził, kto źle radził, i jeszcze radzić będzie, odparł hetman, siekąc Urszuli i Lipskiego oblicze, temu niech Bóg wielki policzy błędy za grzechy, temu rynek nie jedno plwanie rzuci. temu każdy człowiek wrogiem, jak ja pierwszy, jak ja nie ostatni. Trzystu było, którym Mucjusz Scewola przewodził, tysiące będą, którym my przewodzić zaczniemy, i ty sam miłościwy królu, będziesz im w czole, boś pierwszy ku dobru ojczyzny, boś pierwszy przeciwnik złego. Obu nam, N. Panie, włosy zbielały pod jednym dachem Rpltéj; obejrzyj po sługach twoich, oni wam w życiu przy boku stąpali i zstąpią z wami do grobu. Czas im i tobie niedługi, i gdzieżby na téj wązkiéj drożynie, co nas do Boga prowadzi, przyszła któremu myśl krwawa. Patrz na ich oczy, patrz na ich serca, płaczą ku przyszłéj krainie. Ciesz się o starszy bracie mój Żółkiewski, my cię doścignięm trunami; lecz cieniu błogi! tyś nie doczekał, by cię kto w starości myślą o zbrodni pokalał. — A Zygmunt na to rozkołysał się w płaczu, Urszula wściekła z żalu. Król skinął ręką, zerwano posłuchanie, rozsunęły się koła, zmięszały. Urszula oddalając się z królem, łysnęła zamroczoném okiem.

VI.

Zemsta. — Kara.

Weszedł dworzanin, przyniósł list duży z rąk Piotrowskiego: pieczęć kancelaryjna królewska — do litewskiego hetmana; zdjął więc z uszanowaniem Chodkiewicz małą turecką czapeczkę złotem dzianą z głowy i czyta wyrazy pana swojego:

»Wolą jest naszą królewską, abyś W. Miłość panie hetmanie, z okien pałacu swojego obecną była dzisiejszéj exekucyi Piekarskiego, raz aby osobą swoją wyobrażać godność Rpltéj assystującéj ukaraniu zbrodniarza, ku czemu weźmie W. Miłość i pana Sapiehę kanclerza koronnego Naszego; — drugi raz, aby tą obecnością zadać fałsz tłumnie biegającym wieściom po mieście, jakoby W. Miłość nie tak złém okiem patrzała na ten zamach dworaka swojego, a co gorsi dodają i jemu doradzała tę sprosność.« Ten list tak urażliwy krzywym swym podpisem naznaczył:

Sigismundus Rex

Jakież w sercu hetmana zagrały bole, jaka gorżkość siedziała w każdym rysie tego pisma, i owa ręka pochlebiająca złości nie swojéj, i owa pieczęć od spraw publicznych w prywatne rzucona sprawy, piętnująca hańbę dla niego bez dowodu, bez prawa. Zchmurzył się Chodkiewicz, rozbolał, ale słowa nie rzekł; dworzaninowi kazał ruszyć z tym listem do Sapiehy, sam z sobą rzucił głowę w obie ręce, zadumał.

Tymczasem ulice, zaułki, przyrynki oblata wyrok przy trąbie czytany; ciekawość spędza swym biczem lecących na rynek; roje czepców falują w wezbranym tłumie, gdzie niegdzie o tłustego uderzą szlachcica, co stanął mocno słoniemi nogi jako skała, wodzie na przekor. Dwie kamienice-rywalki stroją sługi z okien perskie zwieszając dywany. Na ciemném tle dywan Chodkiewicza miał czerwone kwiaty, jakby krwią płakał; na turkusowéj głębi białe i zielone badyle, ptaki, to dywan weselny panny Mejerin; na nim jak na poręczy tronu wesprze swoje łokcie, popatrzy w twarz dwom ofiarom — trzem i ludowi nie przepuści; wyższa od niego piątrem pokaże mu, że chcąc do niéj dostać, trza wleść na rusztowanie i mieć głowę z żelaza, by jéj miecz nie zdjął. Dziś tryumf Urszuli, do niego bierze ten sam strój, który miała w dzień plwania, winę z niego krwią zmyje, przynajmniéj zatrze okropnie. A trzeci punkt téj jaskrawéj dramy stał ponuro przed samym ratuszem, z desek zbity, kir na nim, pal w górę jak ramie, pień przy nim niższy, a obok na łańcuchu haubica. Pułk węgierskiéj gwardyi pętliczasty, złocisty, śniący, toczy się ku rusztowaniu przez massę zbitego ludu. Skazanego już wiodą od krakowskiéj bramy, tłumy się cisną, roztrącają, gibocą, okna się pełnią widzami — i owe dwa okna już objęły swych gości: z Mejeriną Boboli, z Chodkiewiczem Sapieha, obaj w uroczyste przybrani szaty.

My patrzmy we trzy lica, Mejeriny, Chodkiewicza, Piekarskiego; jedno drugiemu podawać będzie wrażenia, jedno drugie wichrzyć, burzyć, pomawiać, na nich odegra się całe zawiązanie dyalogu; miecz odblyśnie w oczach hetmana,

w oczach Urszuli, ale jak odmiennie; męki Piekarskiego wszyscy widzieć będą, ale któż je poczciwiéj weźmie do serca jak pan jego, kto z nich uraduje się faworyty radością?

Nadwieźli go, to nie człowiek Piekarski, to jakiś szkielet palący się. Wybladnął, zapadłe policzki ledwo skóra kryje. Stawiony na rusztowaniu chwieje się, on nóg by nie miał, czuje tylko głowę, bo tam ból cały, a reszta ciała zmarła. Cisza w około tak, że słychać z okna Mejeriny »kacerz«, które Boboli językiem rzucił a twarzą ciągle wymawia. Lud odwraca głowy, wtóruje »kacerz« żegnając się; Urszula raz spojrzała ku rusztowaniu, teraz już ino w Chodkiewiczu okiem — on smutny, powlekł się myślą ku dawnemu słudze i wita z owym byłym rotmistrzem Lisowczyków, pierwszym w ogień, trzymającym się tylko konia swego, hetmana i Boga. Bóg go opuścił, konia stracił, hetmana już pewno zobaczył. Przeczytano wyrok, właśnie pierwszą sentencyę pełnią oprawcy; podprowadzono skazanego ku niższemu pieńkowi, położono nań prawą jego rękę, kat ciął czekanem i ręka spadła po łokieć. Krzyknął Piekarski, popatrzył na rękę z zadziwem, że go mogło coś więcéj prócz głowy zaboleć; krew bryzgała; trzeba mu było aże puszczenia téj krwi, aby przyjść do się z gorączki. Teraz mu widniéj w oczach, czyściéj w głowie, sercu się o bycie przypomniało. Patrzy i widzi tłum ludu, rynek, kata przy sobie, patrzy i wprost siebie ujrzał pana swojego, poznał go jak dziecię swoję matkę poznaje i jak dziecię wyciągnął ku niemu owo ramię skrwawione i zawył. Zbledli widzowie popatrzali na ten słup krwawego drógoskazu, co się piął do hetmana, słuchają krzyku, który tak dziko jęczy ku Chodkiewiczowi — ich jako jego oczy wbiły się w tego starca siedzącego w całym majestacie urzędnika Rplitéj, głosy różne rwą się za tym stękiem: »on go poznał; on błaga łaski;« ale głos piskliwy, przeciągły, szyderczy, z wyższego miejsca niż rynek rzucony, huczy nad inne; »on go oskarża.« Mejerin wychyla się z swego okna bardziéj, coraz bardziéj, aby przypatrzeć hetmańskim rysom i niby nieświadoma, niby pełna ciekawości w głos krzyczy: »co to, patrzcie, kogo wskazuje morderca!« Za jéj wołaniem więcéj się głów chyli ku Chodkiewicza oknu, więcéj ócz zwraca, a ów starzec z całém osłupieniem okropności, siwy włos jeży, potém czoło pracuje i patrzy w to zjawisko zapamiętale, jakby to karta, w któréj on czyta. Chwilę tak było, wtém się upamiętał Piekarski, odszarpnął ramieniem w górę i oczy bledsze, łagodniejsze jak gdyby z prośbą do nieba. Twardziéj rani starca ta modlitwa skaleczonego winowajcy. Kat zawrócił ofiarę ku sobie i druga ręka pod czekanem padła; krew z niéj nie tak mocno bryzgała, a Piekarski nie ma innego w całéj twarzy wyrazu prócz bolu fizycznego, który i łzy do ócz i skargi do ust urywane, sykające naciska. Z dwóch ramion w dół teraz spuszczonych krąg czerwony się toczy, i opasuje ten posąg żyjący: a twarz, a ciało coraz bledsze, już na nie anioł śmierci zawczasu rzuca swą chustę, by nie przerazić żyjącéj ludzkości. A wtém i głowa spadła. Z błyskiem miecza zmrużył oczy Chodkiewicz, oburącz je zasłonił; wtedy to Mejerin oddała plwanie za plwanie, zaplwała oczy hetmana krwią Piekarskiego. Kat kończy wyrok nad ciałem, bo duszy już nie było.

Zaturkocila kareta Mejeriny jak wówczas, a faworyta jak wówczas depce, rozpędza tłumy poszustnemi flamandy i odjeżdża z wieścią do zamku. Tą razą patrzy śmiało w okno hetmańskie, wyzywa okiem na nowe spotkanie, na nową walkę. Jakże hetmanie? Chodkiewicz stał jeszcze w oknie, ona mu patrzy z koleby, chce przypomnieć owę chwilę obelgi; »Plwaj« zdaje się mówić całą tryumfującą zemstą. Ale u niego w oczach wciąż ino obłysk miecza i głowa lecąca ku niemu. *D. G. Magnuszewski.*

Po téj zemście Urszuli Magnuszewskiego, zajmującéj większą część prac literackich, następuje powieść fantastyczna wierszem, pod tytułem »Orly z Herburtów,« oparta na podaniu krążącém w okolicy Dobromila, jakoby dawni dziedzice tego zamku w orłów się przemieniali. Pierwsza polowa aż do wiersza »w skały w szczelinie« tak pod względem poetycznego wynalezienia, jak wdzięcznego, potoczystego rytmu, czyni mocne wrażenie; odtąd i wątek do schwycenia przytrudny, i gwałtowne zmiany rytmu, rozdźwiękiem w harmonijnym spadku miejscami ucho uderzać się zdają.

Następująca rozprawa »o polskim języku i świecie łowieckim,« także przez czcigodnego wydawcę Alex. Dunina Borkowskiego napisana, nie tylko lubowników myślistwa, ale każdego lubownika rzeczy ojczystych zająć powinna; co większa dla pisarzy romansów i powieści na tle ojczystym osnowanych złożony jest w niéj bogaty zapas najcudniejszych kolorów do obrazów łowieckich przydatnych. Autor, jak się zdaje, sam amator myślistwa, zebrawszy wszystkie dawniejsze dzieła o téj materyi traktujące, wyjął z nich z wielką pilnością techniczne łowieckie wyrazy i tę umiejętnie w jednę całość spoiwszy, skreślił obraz zajmujący życia i języka myśliwskiego. Jestto prawdziwa przysługa dla tych, którzy nie posiadając owych dzieł rzadkich, tu jak gdyby treść z nich wyłożoną znajdą.

Następująca powieść z życia domowego: »Płacz i śmiech przez Józefa Dzierzkowskiego« nieprzyjemne uczyniła na nas wrażenie, i wyznajemy szczere, że nam się najmniéj spodobała. Choć autor mocném uczuciem obdarzony, silnie językiem władać umie; ale treść tak obczyzną trąci, tak śliskiéj galanteryi francuzkiéj widoczne nosi piętno, przezroczystą tylko okryte zasłoną, że ucho Polaka obrażone niechętnie się od tak nieestetycznych odwraca obrazów.

Kończą ten zbiorek krótka rozprawka o Gościnności z zastósowaniem do Polski przez K. Wł. Wojcickiego i zdrobniejsze wiersze Alex. Fredry, Magnuszewskiego, Bielowskiego, J. Dunina Borkowskiego, Siemińskiego, S. Goszczyńskiego, z których ostatnich szczególnie »Skrzypek na księżycu« swém prawdziwie poetycznym pomysłem każdego zachwycić powinien.

Korrespondencya.

Do Redakcyi.

Z Namysłowa, dnia 15. Lipca 1839.

Łaskawy Panie!

Chciałeś mieć pismo swoje wspólnym składem uwag i wymianą wyobrażeń czytającéj publiczności. Szczęściem, że nie wydajesz żurnalu w Niemczech, boby cię wkrótce za rzucono gradem artykułów, i nabawiono nie małego kłopotu; tam bowiem, gdzie tylko wiatr zaniesie pióro do pisania, znajdzie się i autor. U nas ile miarkuję z obfitości piór raczéj na kapeluszach dam niż w ręku młodzieży spostrzeganych, młodzieży mówię, zajętéj więcéj polowaniem, psami, kartkami, balikami, niż taką szkolarską sedenteryą, zdaje mi się, że ci się nikt zbytecznie z swemi uwagami nie naprzykrza. Powróciwszy z Poznania na wieś, uczułem w sobie chętkę do opisania, com podczas S. Jana widział, słyszał i myślał. Jeżeli co warto, udziel do powszechnéj wiadomości dla pobudzenia zdatniejszych; jeżeli zaś źle, spal jak najprędzéj, a ochronisz mnie od upokorzenia, za którą przysługę wdzięczen być ci muszę.

Zjechawszy tą razą do Poznania na kontrakty Świętojańskie, bardziéj ze zwyczaju niż z potrzeby, zastałem daleko więcéj niż przeszłego roku, ulicznego ruchu. Ta wrzawa, ten zgiełk powszechny i krzykliwy tumult, z dwóch stron szczególnéj pochodzić się zdawał: od obcych, co z wyrafinowanym przemysłem usiłowali zwrócić uwagę na swoje kuglarstwa przechodzących i z założonemi rękami stojących

gawronów; od naszych, co grzmiącemi karocami, udatną czworką, hucznym trzaskiem bicza rozbijali uliczną gawiedź. Największe zbiegowisko na rynku. Trudna do przebycia czerń służby, oczekującéj na nowego pana, jak na wschodzie na przedaż wystawieni niewolnicy i niewolnice, zaległa miejsce przed wrocławską ulicą. Ubiory ich, zbiór tandety i pańskich względów, najdziwaczniejszéj mody przedstawiają igrzysko, zacząwszy od staropolskiéj jeszcze kapoty i sitarskiego wąsa, aż do modnego teraz, ryżowego kapelusika, smutne rudera szerokowładnego panowania téj grymaśnéj pani. Zresztą fraszka o modę; lecz to gorsza, że i twarze tych dworaków wymokłe, postacie ciała wyniszczone, bo to z modą nie ma związku, a nienajkorzystniejsze o dworskiém życiu wznieca mniemanie. Czemużto ów Grześ lub Kuba przybrany w galony, albo za angielskiego żokaja, wygląda gdyby śledź wymokły; gdy przeciwnie druch lub krewniak jego, co w kamizeli i czerwonéj czapce pozostał przy roli, wesoły i rumianego lica? To zapewne od nocnego czuwania, kiedy panicze zagrawszy się przy stoliku, zacięte boje pod przywodem walecznego króla Faraona aż do białego dnia staczają, gojąc winem lub ponczem srogie fortuny ciosy. Byćby to mogło, a może i nie, bo któż zdola wszystkie dworskiego życia wykryć tajniki?

Naprzeciw ratusza strojna toruńska piernikarka wabi do swego słodkiego towaru. Gęba u niéj wyprawna, lata jak na kołowrotku, mile się do kupujących uśmiecha, a zwłaszcza do młodego podporucznika, choć wcale nic niekupuje, tak dalece, że nie postrzega nawet, jak dzieciaki w łachmanach, oblegające te miodowe fortece, lekką ręką zmiatają nieznacznie leżące na pierwszych czatach pierniki, i schowawszy je do mieszka, jakby od niechcenia oddalają się.

Duszą atoli tego różnobarwnego panorama są żydzi. Oni w budach, czyli po tutejszemu w taszach porozwieszawszy umiejętnie połyskliwe fraszki, biją niemi w oczy gawroniącéj gawiedzi, a nawet ostrożniejszych swemi niewyczerpanemi fortelami i wprawną przebiegłością podejść i otumanić umieją. Najgorzéj im tylko wciągnąć kupca do budy lub kramu, a wtenczas już go mają w swéj mocy, jak rybak szczupaka uchwyconego na wędę. W téj sztuce nikt żyda nie przewyższy. Mały bachor, którego ledwie znać przy ziemi, już doświadcza swoich przebiegów w zastępstwie starszych, i sądzi się być usposobionym do zamydlenia oczu ludziom z dojrzałym rozsądkiem.

Wiadomo, że Sokratesowi, podług jego własnego zeznania (patrz Memorabilia Xenophonta), towarzyszył przewodniczący mu we wszystkich sprawach geniusz, którego natchnienie kierowało krokami tego arcymędrca. Tym geniuszem opiekuńczym, tym aniołem stróżem jest dla naszego ziemianina usłużny żydek; on doradzcą, adwokatem, agentem, plenipotentem, lokajem, kassyerem, często nawet ekonomem, ba i kommisarzem, konfidentem od serca. Bez niego nic się nie kupi, nic się nie sprzeda, on orędownikiem, on pośrednikiem w każdéj sprawie, jedném słowem faktorem, to jest generalnym wykpigroszem, robiącym wszystko ze siebie, byle nie potrzebował pracować. Rozumie się samo przez się, że nie dla miłości ludzkości, lecz dla własnego zysku tak zręcznie rzeczy wykalkulować umie; tyle swym mniemanym usługom przydać wagi, że zwykle obiedwie interessowane strony obławia. Że to intratny jest proceder, ztąd się najlepiéj okazuje, iż nie jeden faktorem *a faciendo* trafnie przezwany żydek, w krótkim czasie na tak znakomitą wyfacyendował się osobę, że się z Jaśnie Wielmożnym całuje i prowadza pod pachy po rynku, jak gdyby z swoim rodzoniuteńkim bratem. Niech żyje popularność i wyniesienie się nad przesąd gminu! Szkoda tylko, że ta kordyalna przyjaźń nie trwa dłużéj, dopóki żydek potrzebnéj sumki z procentem po 10 od sta na miesiąc nie pożyczy. Wtenczas magnetyzm pociągający ich tak silnie ku sobie zmienia swą naturę, odskoczą od siebie, jak dwie gałki ujemną naelektryzowane materyą, i owa przyjaźń nierozerwana w zaciętą zamienia się walkę, w któréj najczęściéj dłużnik party natarczywie od swego przeciwnika rejteruje się jak i gdzie może, zwykle znajomym szlakiem pryśnie za granicę, nie zważając bynajmniéj na to, że tył sromotny podawać, jakiemukolwiek bądź przeciwnikowi, zawsze jest haniebna.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Od m. Września 1838. r. wychodzi w zeszytach 5cioarkuszowych w Berlinie nakładem Dunkera dzieło w niemieckim języku pod tytułem: »Medicinisch-chirurgisch-therapeutisches Wörterbuch« z przedmową Prof. Dr. Barez. Słownik ten zasługuje ze wszech miar na uwagę lekarzy praktycznych, gdy w krótkości porządkiem alfabetycznym na każdą niemoc z osobna, wszelkie, od połowy przeszłego wieku do dziś dnia doświadczeniem i krytyką uzasadnione sposoby i środki leczenia najsławniejszych lekarzy niemieckich, angielskich, francuzkich i włoskich wylicza. Czytającemu dzieła tego, pracowitością niezmierną odznaczającego się, przedmowę pana Barez, jako i Redakcyi, zdawałoby się, iż ono jest czysto-oryginalnym pomysłem niemieckim, gdy pierwszy wyraźnie mówi, iż przedsięwzięcie dzieła tak ogromnego przechodzi siły pojedyńczego człowieka, a Redakcya dodaje: und wir halten nach vielen Versuchen die jetzt bestehende Ordnung der Tendenz am meisten zusagend. Tymczasem całe to dzieło jest wiernem i słowném tłómaczeniem słownika pana Szerlekiego Dr. M., rod. z Warszawy, który przez wiele lat nad nim pracując, dopiero go w roku 1837. w Paryżu pod tytułem: *»Dictionaire abrégé de Thérapeutique ou Exposé des moyens curatifs etc.«* wydał, a przedmowę swoję temi słowy zakończył: *»En publiant ce travail de plusieurs années, je n'ai eu d'autre but que d'être de quelque utilité aux praticiens et de payer ainsi une faible portion de la dette de reconnaissance que j'ai contractée envers la France, dont les sympathies ont toujours été si vives pour notre infortune.«* Przyznajemy jednak Szanownéj Redakcyi niemieckiego dzieła, iż, tłómacząc, znacznie je powiększyła, aleć już dla tego o prawdziwym jego autorze w przedmowach swoich całkiem zamilczeć nie była powinna. Taka zadziwiająca osobistość obraża każdego!

Zwrócono naszę uwagę na następujące dziełka, które dotąd w żadnym spisie książek nie znajdują się:

1. Rozprawa »O naturze i zasadach Fizyki« przez Romana Markiewicza, drukowana osobno w drukarni akademickiéj. Kraków 1814. r.
2. Tegoż, »o własnościach fizycznych.« W Krakowie 1817.
2. Tegoż, Tabliczki poprawek barometrycznych w łacińskim języku pod tytułem: *»Tabula dilatationem metallorum, tum depressionem metalli fluidi in observationibus barometricis corrigens, mensuris metricis adplicata. Cracoviae* 1823.«

Umieszczając tu ich tytuły, dodajemy, iż jedne i drugie tabliczki są pierwszemi, które na nowe miary francuzkie, to jest na millimetry i stopnie termometru stumiarowego nowo są obrachowane, jakich dotąd w języku niemieckim ani włoskim nie ma.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*